

Kultura terapeutyczna, czyli woke i psychiatria

8 września 2023

Proletariat (prekariat) toczy wewnętrzne bratobójcze walki o tożsamościowe etykiety, podczas gdy nierówności ekonomiczne, zyski wielkich koncernów, majątki multimiliarderów i ich wpływ na rzeczywistość polityczno-ekonomiczną rosną, a na świecie coraz więcej ludzi cierpi z powodu głodu i niedożywienia i nie ma gdzie mieszkać.

Wesprzyj nas

Tęczowe barwy na produktach wyzyskujących ludzi i eksploatujących planetę korporacji w żaden sposób nie ograniczą władzy międzynarodowej finansowej oligarchii, nie poprawią warunków życia ludzi ani nawet nie wpłyną specjalnie na los przedstawicieli tych czy innych mniejszości – szczególnie, jeśli owi przedstawiciele nie należą do tzw. klasy średniej. Ze snu polityki tożsamości warto się przebudzić – ale nie po to by bronić status quo. Woke to symulakrum rewolucji, sprzedawane jako radykalny sprzeciw wobec opresji i postępu, w istocie jednak konserwujący strukturalne nierówności. Z tej perspektywy, zarówno „lewicowy/postępowy” dyskurs woke, jak i jego „prawicowa/konserwatywna” i „konserwatywno-liberalna” krytyka pełnią tę samą rolę. Musimy wyjść poza ten klincz, jeśli faktycznie chcemy realizować prospołeczną politykę w interesie ogółu. Także, lub nawet przede wszystkim, jeśli niepokoi nas rosnąca popularność skrajnej prawicy – w Polsce i na świecie.

Z podobnym zjawiskiem mamy do czynienia w psychiatrii. Woke, opierające się przede wszystkim na identity politics i różnych „tożsamościach” oraz kultura terapeutyczna (powinno się chyba raczej mówić o „kulturze psychiatrycznej”) wyrastająca z reifikowanych diagnoz psychiatrycznych i odpowiadających tym diagnozom tożsamości – są sobie bliskie. Woke podlany jest też

współczesny „renesans psychodeliczny”. Ten ruch, momentami przypominający skomercjalizowany skansen po Woodstocku rzekomo nawiązujący do hipisowskiej kontrkultury i lewicowych protestów z końca lat 1960., jest równocześnie głęboko osadzony w indywidualistycznej polityce tożsamości oraz kulcie „innovacyjności” i wydajności ekonomicznej wprost z Doliny Krzemowej, świata technologicznych start-upów i Big Techu. Snując opowieści o wolnościowej rewolucji, której narzędziem miał być internet, budowano kapitalizm nadzoru i systemy inwigilacji dla wielkich korporacji i rządowych agencji. W przypadku psychodelików, zamiast „rewolucji świadomości” otrzymamy zapewne wyłącznie nową klasę równie „bezpiecznych, skutecznych i niezależniających” leków psychiatrycznych, co te wcześniejsze. Dobrym przykładem jest Spravato, w którym stary tani generyczny lek – ketamina, po zapakowaniu w spray, co umożliwiło uzyskanie nowego patentu, stał się bardzo drogim (a od niedawna refundowanym także w Polsce) lekiem o wątpliwej skuteczności i profilu bezpieczeństwa. Zamiast zmiany świadomości mamy więc nowy produkt i narrację o neuroplastyczności i glutaminianie, czyli biologizację indywidualizującą problemy społeczne.

Postępowe i szczytne idee, przejęte przez główny nurt, stają się swoim przeciwieństwem. Katowicka „miejska farma”, w formie wielkiego napisu w centrum miasta umieszczonego przed wysypanym żwirkiem skwerkiem nad podziemnym parkingiem ze smutnymi roślinkami w skrzyniach, jest dobrym symbolem tego, co mainstream może zrobić z „oddolnymi” słusznymi inicjatywami, w rodzaju tych permakulturowych. Przykładem z psychiatrii, obrazującym nieoczywiste skutki bliskiej kulturze woke fiksacji na używaniu poprawnych słów, zamiast na rozwiązywaniu problemów, na które wskazują te niepoprawne, są forsowane od jakiegoś czasu (najprawdopodobniej przez część Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego) zmiany w ustawie o ochronie zdrowia psychicznego. Poprawne politycznie zastąpienie określenia „choroba psychiczna” (które odnosiło się wcześniej do „zaburzeń psychotycznych”) rzekomo mniej

stygmatyzującym „zaburzenie psychiczne” (które obejmuje znacznie więcej problemów), przy równoczesnym zastosowaniu przepisów dotyczących przymusowego leczenia, które wcześniej dotyczyły wyłącznie „chorób”, również do „zaburzeń”, sprawić może że znacznie łatwiej, niemal każdego, będzie można leczyć przymusowo właściwie wyłącznie na podstawie subiektywnej opinii psychiatry. Mariaż władzy medycznej i psychiatrycznej z sądowniczą czy też z aparatem represji, jest wyjątkowo groźny, o czym przekonuje zarówno historia III Rzeszy (w ramach Akcji T4, która była pierwowzorem lub też początkiem Holocaustu, wymordowano najpierw pacjentów szpitali psychiatrycznych, nazywając to „eutanazją” – opracowane wtedy technologie masowego mordu przeszczepiono potem do obozów koncentracyjnych, po „podludziach” „chorych psychicznie”, przyszła kolej na Żydów, Słowian i Romów), jak i radzieckie tortury dysydentów pod pretekstem leczenia tzw. bezobjawowej schizofrenii.

Co ciekawe, w głośnej niedawno sprawie Joanny z Krakowa, wbrew nawet słowom samej poszkodowanej, która wprost wyrażała pretensje wobec lekarki (twierdząc, że ta ją oszukała, informując, że wzywa ratowników medycznych, choć dzwoniła na policję), liberalne media próbowały przekierować oburzenie na rząd i policję. Warto jednak zauważyć, że, cokolwiek by o takich standardach nie myśleć, psychiatra podejrzewająca pacjentkę o zamiary samobójcze ma prawo wezwać służby, które taką osobę mogą pod przymusem umieścić w szpitalu. Potraktowanie Joanny nie odbiega specjalnie od tego, jak często osoby określone jako „chore psychicznie”, tym bardziej „suicydalne”, traktowane są przez lekarzy i policję. Dokładna rewizja i rekwirowanie wszelkich rzeczy osobistych, które mogłyby potencjalnie posłużyć do odebrania sobie życia (włączając w to np. sznurówki butów czy ładowarkę telefonu – ze względu na kabelek, którym można się np. udusić), nie są w takiej sytuacji niczym wyjątkowym. Niewiele osób zdaje sobie jednak sprawę z tego że, nawet w świetle obowiązujących przepisów, od przymusowego pobytu w szpitalu psychiatrycznym

dzieli ich właściwie jeden telefon na policję wykonany przez psychiatrę subiektywnie oceniającego, że zagrażają swojemu życiu.

Sama „lewicowość” w dużej mierze stała się etykietką-produktem mającym głównie sygnalizować status społeczny, nadążanie za modnymi tematami i „najnowszymi trendami” (w dużej mierze koncentrującymi się wokół posiadania którejś z woke tożsamości lub przynajmniej „sojusznictwa”) – poza frazesami rzadko stoją już jednak za nimi realne działania w interesie pracowników. „Lewicowość” często nie łączy się już nawet z żadnymi propracowniczymi poglądami – wszelkie badania pokazują bowiem, że elektorat lewicy jest gospodarczo nawet bardziej „na prawo” od zwolenników Platformy i w poparciu dla neoliberalnych reform uderzających w najsłabszych niewiele różni się od Konfederacji.

Podobnie, woke jest raczej wynaturzonym neoliberalizmem (o ile neoliberalizm może być w ogóle inny niż wynaturzony...) niż ruchem autentycznie lewicowym. W istocie bliższy jest na wielu poziomach postawom neokonserwatywnym, tyle że z lekko przestawionym wektorem. W efekcie ci sami ludzie, którzy kpią z „obrazy uczuć religijnych”, są gotowi palić na stosie za obrazę „uczuć tożsamościowych”. Częściowo dotyczy to również etykiet psychiatrycznych. Choć w Polsce jest to jeszcze relatywnie mało widoczne zjawisko, to zapewne z czasem będzie i u nas przybierać na sile. Na ironię zakrawa przy tym wszystkim fakt, że DSM, czyli tzw. biblia psychiatrii zawierająca definicje zaburzeń psychicznych, a więc podstawa i źródło opartych na nich tożsamości, tworzona jest przede wszystkim przez... garstkę uprzywilejowanych starszych białych bogatych cisheteroseksualnych mężczyzn opłacanych przez koncerny farmaceutyczne. Kreowane i/lub promowane przez koncerny etykiety oraz utożsamiający się z nimi ludzie, stają się zarazem targetem dla przekazów agencji marketingowych i idących za nimi produktów i postaw. Wykorzystywane przez III Rzeszę do zwiększania produktywności i nadania prędkości

Blitzkriegowi stymulanty są teraz lekiem na ADHD. Jak w tekście opublikowanym w lewicowym „Counterpunch” sugeruje terapeuta Bruce E. Levine – efekty działania stymulantów mogą ułatwiać wpasowanie się w system, w którym pełnić mamy wyłącznie rolę bezwolnych trybików destrukcyjnej maszyny.

O tych zjawiskach nie należy oczywiście myśleć jako o jakimś skoordynowanym i ściśle zaplanowanym „spisku elit”. Wydaje się to być raczej konsekwencją szeregu złożonych procesów ekonomicznych i społecznych, w których, jak pokazywał choćby Mark Fisher, a dużo wcześniej np. Guy Debord, kapitalizm przejmując skierowaną przeciwko sobie krytykę, wulgaryzuje ją, komercjalizuje i zaprzęga do celów sprzecznych z oryginalnymi, umacniając tym samym swoją hegemonię. Wydaje się że podobny los spotkał kontrkulturę czy też ruch hipisowski lat 1960. i 1970. oraz ówczesne europejskie protesty. Być może indywidualistyczny rdzeń tych zrywów i ich w jakimś sensie konsumpcjonistyczny u zarania charakter (nawet jeśli chodzi np. o konsumpcję „wrażeń” czy „doznań”) odpowiada za ich łatwe zawłaszczenie i podporządkowanie przez dominujący dyskurs. Podobnie może być dzisiaj tak z psychodelikami w psychiatrii, jak i z ruchem neuroróżnorodności, którego szczytne ideały, połączone jednak z zafiksowaniem na przedrostku neuro, a więc biologicznym esencjalizmie, sprawiają, że bardzo łatwo zawłaszczany jest przez biomedyczną neoliberalną indywidualistyczną psychiatrię. Czy powiemy „neuroróżnorodny” czy też „neuroatypowy” nie ma większego znaczenia, jeśli nadal de facto odsyła to w praktyce do tego samego, co „zaburzony”.

W przeciwieństwie jednak do sytuacji sprzed pół wieku, możliwe, że mamy do czynienia dzisiaj z sytuacją, w której aparaty ideologiczne państwa, o których pisał Althusser, stają się coraz mniej państwowe. Państwo stopniowo przestaje być potrzebne do sprawowania ideologicznej kontroli służącej reprodukcji siły roboczej i stosunków klasowych. Tym samym kapitał, uniezależniając się od przynajmniej częściowo podlegającym demokratycznej kontroli instytucji państwowych,

umacnia pozycję i cementuje swoją władzę. Dziś to bardziej (ponowoczesne) media społecznościowe niż (nowoczesna) szkoła formują umysły, a Tik Tok, Instagram czy Twitter stają się „najważniejszą ze sztuk”. Nawet, jeśli naszym celem miałoby być w ostateczności wyzwolenie się także z opresji państwa, to, jak wskazywał Althusser, to właśnie jego aparaty ideologiczne, zaprzęgnięte w interesie klasy pracującej, mogą być środkiem do tego celu – innej siły choćby potencjalnie zdolnej przeciwstawić się Mamonie, nie widać na horyzoncie.

W (po)nowoczesnym sporze o inwestyturę pomiędzy wielkimi korporacjami (współcześnie dominującą rolę wydaje się odgrywać Big Tech) a państwem, w interesie społecznym jest wzmocnienie roli państwa. Tylko państwo, a nawet ponadnarodowe organizacje (o ile podlegałyby realnej demokratycznej kontroli), mogą bowiem stanowić przeciwwagę dla molocha korpo. Choć państwa i międzynarodowe instytucje są w dużej mierze uzależnione od korporacyjnych lobbystów, skorumpowane oraz podległe zainteresowanej wyłącznie swoim partykularnym interesem „klasie eksperckiej/menadżerskiej” (i/lub „akademickiej”), to mamy wciąż legalne i nieprzemocowe ścieżki wpływu na te ciała i podejmowane przez nie decyzje. Na decyzje wielkich korporacji, wielkiego kapitału – wpływ mają tylko jego posiadacze. Niezależnie od sympatii politycznych, sytuacja, w której Big Tech cenzuruje urzędującego prezydenta ponoć najpotężniejszego demokratycznego państwa na świecie, tak jak to miało miejsce w wypadku Donalda Trumpa, powinna być dla nas alarmem, nie zaś powodem do małostkowej radości. Podobnie jak sytuacja, w której ambasador obcego państwa blokuje rozwiązania mające na celu uregulowanie działalności Big Tech w Polsce. W kulturze woke, pozornie traktującej o systemowych niesprawiedliwościach, a faktycznie skoncentrowanej na cechach jednostek i indywidualnych sympatiach i antypatiach wobec nich, strukturalny aspekt takich zdarzeń przechodzi niemal niezauważony.

Siłę mediów społecznościowych w kreowaniu rzeczywistości, choć

jest to przykład o znacznie mniejszym ciężarze gatunkowym, dobrze było widać przy okazji niedawnej „afery Janoszek”. Jej bohaterka m.in. dzięki mediom społecznościowym spreparowała swoją rzekomą karierę. „Duże” media, także w kwestiach całkiem poważnych, coraz częściej ograniczają się do referowania treści postów czy tweetów poszczególnych osób; to media społecznościowe także jako źródło przekładających się na wpływy z reklam „klików” zaczynają kręcić mediami „tradycyjnymi”.

Równocześnie, większość komentujących sprawę skupiała się na tym, kto jest fajny (Janoszek czy Stanowski?), na tym, kto kogo nie lubi lub kto się ładnie, a kto brzydko zachował. Niewiele widać było namysłu nad tym, co nam ta sprawa mówi o stanie mediów, dezinformacji, propagandzie i stojących za nimi strukturami i mechanizmami. Największe i najważniejsza media w Polsce przez lata podawały niesprawdzoną informację, którą można byłoby zweryfikować w kilka minut przy pomocy Google’a. Moglibyśmy spojrzeć na tę aferę przez pryzmat warunków pracy w mediach, moglibyśmy spróbować głębiej zastanowić się nad „post-prawdą”, symulakrami, relacją między rzeczywistością wirtualną i medialną a jej wpływem na realne zjawiska i związkiem tego wszystkiego z materialnym osadzeniem różnego rodzaju instytucji. Jest to przecież jaskrawy przykład na to, że medialny spektakl może nie mieć wiele wspólnego z faktami, może być fabrykacją całkowicie oderwaną od rzeczywistości, ale jednak ową całkiem materialną i prawdziwą rzeczywistość kształtuje. Moglibyśmy też zapytać, jaką właściwie rolę pełnią „wolne media” (czyt. korporacyjne), skoro nie można im zaufać w tak prostej sprawie i jaki sens ma ich obrona przez tzw. lewicę. Może właśnie, żeby uniknąć tego rodzaju pytań, wielu lewicowych komentatorów wołała w trybie woke pogardliwie wypowiadać się o Stanowskim, o „przygłupach, którzy to obejrzą” czy nawet w ogóle o ludziach, dla których Janoszek nie była postacią anonimową.

Komentarze te więc same nie wychodziły poza schemat konsumpcji

tego typu informacji narzucony przez media, przypominały one raczej komentarz do reality show lub głosowanie w Tańcu z Gwiazdami. Pokazuje to problem z wyjściem poza narzucone ramy ideologiczne po to, aby przyjrzeć się samym mechanizmom ideologii. Podobnie, uwięzieni w symulacji woke ludzie nie widzą, że narzuca im ona interpretację rzeczywistości, która może być nawet sprzeczna z ich rzeczywistymi interesami, ani nawet że znajdują się pod jej wpływem. Zamiast głębszego namysłu nad tym, co sprawa Janoszek może nam powiedzieć o świecie, otrzymaliśmy więc przede wszystkim typowy dla woke „oburz” skierowany w stronę tej czy innej jednostki, z którego właściwie nic nie wynika. Nawet wykraczające nieco poza tę prostą perspektywę komentarze często ostatecznie skupiały się na „cnotach” (a raczej ich braku) u Stanowskiego, w klasycznym manewrze woke przekierowując uwagę na jednostkę rzekomo łamiącą normy moralne. Co zresztą można też odczytać jako próbę obrony autorytetu mediów przez medialnych „ekspertów” – nie gryzie się w końcu ręki, która karmi. Sam Stanowski, nota bene, „zdiagnozował” „zaburzenie” u Janoszek, co ma podobny indywidualizujący i zasłaniający strukturalne zjawiska efekt i może też wskazywać na to, jak przenikają się kultura woke i terapeutyczna oraz jak podobnymi rządzą się mechanizmami. Janoszek zaś potraktować można jako skrajny (i skuteczny) przykład autoprezentacji w mediach społecznościowych, której wszyscy podlegamy, np. kreując wizerunek na potrzeby pracodawcy czy też próbując udowodnić sobie i znajomym, że jesteśmy szczęśliwi i odnosimy sukcesy realizując wizję konsumpcjonistycznego szczęścia i pragnienia sztucznie wykreowane przez media.

Te same media, które nie potrafiły zweryfikować informacji o Janoszek, od lat opowiadały nam też o „nierównowadze chemicznej” jako „przyczynie depresji”, odwracając uwagę od jej społecznych i ekonomicznych przyczyn. Często zresztą powtarzali to występujący w nich „eksperci”. Nie powinno więc może dziwić, że jak pokazuje jeden z ostatnich sondaży, dziennikarze są grupą zawodową cieszącą się najniższym

zaufaniem w Polsce. Psychiatrzy są niewiele wyżej, na szóstym miejscu od końca (pomiędzy pracownikami NGOśów i sędziami), w przeciwieństwie do innych lekarzy, którzy nadal cieszą się dużym zaufaniem społecznym.

Mimo że deklaratywne cele woke, polityki tożsamości, politycznej poprawności czy cancel culture (to właściwie różne aspekty i nazwy tych samych procesów) same w sobie są słuszne i szczytne, a ich celem ma być zniesienie różnego rodzaju opresji i samych tych celów nie należy porzucać, to w praktyce zjawiska te przyjmują autorytarne opresyjne formy, ze swoim własnym zestawem arbitralnych wzorców, tożsamości, słów, norm, nakazów, zakazów i kar za ich przekroczenie. Można odnieść wrażenie, że woke i dyskurs skrajnej prawicy stają się swoimi lustrzanymi odbiciami. W ustawionych naprzeciwko siebie lustrach wzmacniają się nawzajem w nieskończonym ciągu powtórzonych odbić. Jeśli faktycznie chcemy emancypacji, to woke staje się wrogiem emancypacji.

Wyjście poza klincz ideologii woke i konserwatyzmu wymaga powrotu do podstaw myślenia krytycznego, uwzględnienia roli uwarunkowań ekonomicznych (zarówno na strukturalnym, jak i indywidualnym poziomie) i potężnych instytucji finansowych oraz ich wpływu na kulturę. Pominięcie lub wyłącznie hasłowe potraktowanie tych kwestii prowadzi do mylnych diagnoz i chybionych działań, które zamiast pomagać – szkodzą. Taka analiza jest jednak trudniejsza i bardziej wymagająca niż bezrefleksyjne kopiowanie zagranicznych propagandystów – z obu stron tej de facto pozornej barykady – i trudniejsze niż zamykanie oczu i zaklinanie rzeczywistości upartym powtarzaniem, że „cancel culture nie istnieje”, ewentualnie że „zawsze się trochę cancelowało” i właściwie to nie ma problemu. Szczególnie, że można by się było wtedy narazić na scancelowanie...

Być może, w przeciwieństwie do toksycznego zamku wampirów woke, jedyną ideą, która byłaby w stanie skutecznie, bez unieważniania i wykluczania, połączyć całą różnorodność

doświadczeń i sposobów bycia, w prospołecznym celu, jest idea wspólnej tożsamości narodowej i państwa jako narzędzia emancypacji. O ile tylko kapitalistyczna oligarchia nie zaprzęgnie jej do imperialistycznych wojen, w których za pełne kasy tłustych szuj giną prości ludzie.

Autorstwo: Radosław Stupak

Źródło: NowyObywatel.pl